

Z archiwum KP Victoria (cz. 3)

# Konspiracyjny Grom i powojenny HKS

W obu sezonach poprzedzających wojnę Victoria zrobiła wiele dla spopularyzowania piłki nożnej w Ostrzeszowie. Szczególnie pamiętano emocjonujące mecze z 1938r. Podczas turnieju 10-lecia Victorii z dramatycznym finałem wygranym w dogrywce przez Ostrowie. Drużyna, wzmocniona bramkarzem Hertelem, obciążając rozpoczęła sezon, wygrywając 3:2 z KPW (Kolejowe Przystosowanie Sportowe) Skalmierzyce, KPW Ostrów i 2:0 z lokalnym Gimnazjalnym KS.

Niestety... Wybuch wojny sparaliżował nie tylko rozgrywki sportowe. Wojna i okupacja rozproszyły zawodników i działaczy klubu.

Jedni zamiast sportowych strojów przywdziali mundury, inni trafili do obozów koncentracyjnych, zostali wywiezieni do Rzeszy na przymusowe roboty bądź zesłano ich w głąb Rosji. Okupanci rozpoczęli biologiczny proces unicestwienia narodu i fizycznej degeneracji.

Z tym stanem nie mogli się pogodzić młodzi chłopcy i młodzieńcy, dla których potrzeba ruchu i fizycznego wyzicia była naturalnym odruchem. Organizatorami grupy byli harcerze: Kazimierz Płaczek, Henryk Szkopek, Stanisław Stawski.

Przyjęli nazwę Harcerski Klub Sportowy „Grom”. Najbardziej liczący się głos miał w tym gronie Stanisław Stawski.

Jak pisał Henryk Więcek w książce „70 lat harcerstwa ostrzeszowskiego” wyd. 1984: „... początkowo „sportowcy” spotkali się z lasem klasztornym, między wsiami Kuzniki i Myje, prawie cztery kilometry za miastem. Później kopali piłkę na łąkach, gdzie obecnie stoi osiedle domków jednorodzinnych przy ul. Leśnej. W upalne letnie niedziele kąpali się i pływali w stawach Klauki. Obok na łące grali w siatkówkę i uprawiali lekkoatletykę. Poza treningami i rozgrywkami we własnym gronie, „Grom” miał sportkana z „Sokołem” i „Polonią” - zespołami byłych drużyn kępińskich. Jak pamiętają uczestnicy tych meczów: w Haniu koło Kępna „Grom” uległ „Sokołowi” 3:6, w rewanżu zaś w Ostrzeszowie wygrał 4:2. Na łące koło cmentarza w Baranowie koło Kępna ostrzeszowiaczy przegrali z „Polonią” 0:3, gromiąc ją srogo w rewanżu 6:1. Wspominają też mecz w Mikstacie, na który drużyna pojechała na jednym rowerze, kolejno przewożąc zawodników. Poczynania chłopców zostały zauważone przez Niemców. Nie obyło się bez represji. Pewnego dnia zatrzymano

wszystkich grających w piłkę i skierowano do poniżających robót. Również po meczu w Kępnie niemiecka żandarmeria ustaliła nazwiska i wszystkich uczestników ukarała ciężką pracą, którą musieli wykonywać przez kilka kolejnych niedziel”.

Poza Stanisławem Stawskim, członkami tajnej drużyny piłkarskiej „Grom” 1941 - 1943 byli wykazani na fotografii (od lewej): Henryk Szkopek, Kazimierz Płaczek, Stanisław Górecki, Jan Krzykała, Czesław Knopik, Jan Franikowski oraz młodzicy „Gromu”: Włodzimierz Stawski, Jacek Janowski, Stanisław Merdas, Henryk Stawski, Jan Kubera, Kazimierz Sibera i inni.

Większość tych młodzieńców wraz z zakończeniem wojny kontynuowała przerwana edukację, działając również w harcerstwie, stanowiąc jednocześnie podstawowy skład Harcerskiego Klubu Sportowego. HKS rozgrywał piłkarskie mecze towarzyskie, turniejowe i pucharowe, będąc lokalnym partnerem „Victorii”. W przedziale czasowym 1946 - 1949 rozegrał 40 udokumentowanych meczów piłkarskich, uzyskując 17 zwycięstw, 8 remisów i doznając 15 porażek przy różnicy bramek 109:85.

Moim zdaniem miernikiem poziomu gry HKS-u były pojedynki z juniorami kępińskiego „Kolejara”, będącymi wicemistrzami Wielkopolski: dwa remisy 2:2 i 4:4 w 1947r., nikła przegrana 1:2 we wrześniu 1948r. w Kępnie i zwycięstwo 3:2 w lipcu 1949r. w Ostrzeszowie (hat-trick Jerzego Kulusa) są tego dowodem.

HKS tradycyjnie startował w corocznym wrześniowym pucharze „Dnia Spółdzielczości” w Ostrzeszowie. W 1946r. doszło do finału, wygrał 2:0 z „Victorią”, zdobywając puchar przechodni. W tymże pucharze w 1948r. doznał porażki z lokalną Victorią 1:11, ale potrafił wcześniej z nią wygrać (1946), zremisować 2:2 (1947) czy w pełni zrewanżować się zwycięstwem 6:3 (1949).

Długo wspomniane były mecze rozgry-



1941 - 43  
HKS „GROM”

KONSPIRACYJNY KLUB SPORTOWY » GROM «  
OD LEWEJ: HENRYK SZKOPEK, STANISŁAW STAWSKI, KAZIMIERZ PŁACZEK, STANISŁAW GÓRECKI, JAN KRZYKAŁA, CZESŁAW KNOPIK, JAN FRANIKOWSKI.

wane podczas letnich harcerskich obozów, szczególnie dwa zwycięstwa 6:3 i 6:1 z HKS Kielce w Dobrej Podhalańskiej (lipiec 1947) oraz 9:1 z HKS Żagań i 2:1 z HKS Siedlce, uzyskane latem 1948r. w Żaganiu.

Wielu piłkarzy występowało podczas hossy HKS-u. W najcenniejszym w sukcesy roku 1947 (9 zwycięstw, 2 remisy, 2 porażki, bramki 48:13) najczęściej grał w składzie (fot. od lewej): Kazimierz Płaczek, Stanisław Stawski, Kazimierz Sibera, Edmund Kukuła, Henryk Bartkowiak, Ireneusz Konarski, Feliks Dobros, Henryk Szkopek, Czesław Knopik, Sylwester Hober, Andrzej Kubera (późniejszy ksiądz salezjanin). W tymże HKS uzyskał rekordowe zwycięstwo w swej krótkiej historii:

15:0 z Gimnazjalnym KS „Concordia” Kępno. U schyłku działalności, barw klubu ze stylizowaną zieloną lilijką na piersi bronili w szczególności: Henryk Dyba, Jerzy Kulus, Zygmunt Krzyżanowski, Zbigniew Rejmoniak, Stanisław i Włodzimierz Stawscy, Mieczysław i Tadeusz Czajkowscy, Bogdan Gibasiewicz, Eugeniusz Majorek, Zenon Szwacki, Stanisław Szmaj.

Zarząd Harcerskiego Klubu Sportowego tworzyli: prezes Franciszek Ste-

fianiak, wiceprezisi Jerzy Kulus i Stanisław Stawski, sekretarz Halina Calińska, skarbnik Henryk Kucharski, gospodarz Zenon Szwacki oraz kierownik sekcji piłki nożnej Włodzimierz Stawski. Opiekunami HKS-u byli ks. ks. salezjanin phm Janusz Popławski (do września 1947r.) i phm Henryk Pięglowski oraz działacze - sympatycy Ludwik Szulczyński, Stefan Kucharski, Zbigniew Majchrzak, Stefan Pacanowski czy prof. Zbigniew Kaczorowski.

Rozwojowy okres Harcerskiego KS uległ spowolnieniu w końcu 1948r. po zjednoczeniu zjednoczenia partii PPR i PPS, gdy rozpoczął się proces przeobrażenia oblicza ZHP. Stopniowe łączenie chorągwi i hufców, poważne zmiany personalne, ich kierunek i głębokość spowodowały rozwiązanie wiosną 1949r. ostrzeszowskiego hufca przez władze centralne, zmonopolizowane przez PZPR. Wraz z likwidacją harcerstwa HKS stracił rację bytu. Uchwałą walnego zgromadzenia z dniem 27 sierpnia 1949r. przeszedł do Zrzeszenia Ludowe Zespoły Sportowe i przyjął nazwę LZS „Czuwaj” Ostrzeszów. „Przefarbowani” na ludowców harcerze... grali dalej. Wszak trochę zielonego koloru w nowym emblemacie LZS pozostało.

Stanisław Bojszcak  
Cdn.



20.VI. 1948

HARCERSKI KLUB SPORTOWY - OSTRESZOW  
KAZIMIERZ PŁACZEK, STANISŁAW STAWSKI, KAZIMIERZ SIBERA,  
EDMUND KUKUŁA, HENRYK BARTKOWIAK, IRENEUSZ KONARSKI, FELIKS DOBROS, HENRYK SZKOPEK, CZESŁAW KNOPIK, SYLWESTER HOBER,  
ANDRZEJ KUBERA.



## AMERYKA KIEM GRINGO

### Pijaństwo nad Rio Napo

Tak sobie płyniemy tą rzeką kolejny dzień, ale pewnie już Was te opisy nudzą, bo ciągle tylko ta wielka woda, las, drzewka, zwierzątka itd. Cały czas to samo, nic się dzieje, śpimy, płyniemy, śpimy, płyniemy i tak w kółko. Mam nadzieję, że wytrzymacie i przebrniecie przez kolejne odcinki, a ja dziś opowiem o kolejnej nietypowej nocy, jaka nam się przytrafiła.

Zdarzył się nam kolejny dzień na trasie, kiedy to dziwnym trafem znowu zapomniał się znaleźć sobie nocleg o rozsądnej godzinie i przyszło nam szukać miejsca do spania w ciemnościach. Schemat ten sam: siadam na dziób, czołówka w ruch, wiosło w rękę, a chłopaki na rufie. Rozglądam się po brzegach w poszukiwaniu miejsca na nocleg, wypatrując jednocześnie na rzecę konarów, które pojawiają się na naszej drodze. Po jakimś czasie udaje mi się dostrzec w oddali blask światła, co oznacza, że muszą być tam ludzie. Czym prędzej obraliśmy kierunek na nasz „hotel” i co sił w rękach popłynęliśmy tam. Gdy znaleźliśmy się na tyle blisko, by móc zacumować łódkę, okazało się, że cały brzeg porośnięty jest wysoką roślinnością i nie ma możliwości dostania się do ludzi! Co jest grane, jak oni dostają się do chatki? W pobliżu

nie było żadnych łódek, piróg, niczego, a nie dalej jak 20 - 30 metrów słychać było rozmowy. Zaczęliśmy szukać drogi, którą moglibyśmy się do nich dostać, bo wszędzie tylko trawy i żadnego miejsca, w którym można by się zatrzymać. Cudem udało mi się wypatrzyć wąską odnogę szerokości 2m, która również była bardzo zarośnięta, jednak coś nam podpowiało, że musimy płynąć właśnie tędy. Ciemno jak cholera, do tego gęste krzaki po obu stronach, pełno pajęczyn, lian i innych takich - widać ktoś bardzo dobrze maskuje wejście na swój teren. My jednak nie mieliśmy innego wyjścia i musieliśmy się przedrzeć przez te zaskieki, bo pływanie po nocy byłoby co najmniej nieodpowiedzialne. Ta leniwa rzeczka była tak wąska, że mieliśmy problem, by manewrować naszym szerokim bolidem (samo czołno ma ok. 80-90cm, nasza łódź miała 180) i w niektórych miejscach uszkodziliśmy nawet folię ochronną, jednak zdecydowaliśmy, by brnąć dalej i liczyć na to, że trafimy do ludzi.

Do łodzi trafić się udało, ale czy powinniśmy być z tego powodu zadowoleni? Hmm... No, chyba nie za bardzo. Okazało się, że trafiliśmy do domu, w którym było przynajmniej 10 malutkich dzieci, pła-

cących, krzyczących, biegających wte i wewte oraz drugie tyle starszyny - kompletnie pijanej, raczącej się „masate”, o którym pisałem w poprzednim numerze.

Była niedziela, więc tutejszym zwyczajem sąsiedzi wzięli się wieczorem na wspólnym biesiadowaniu przy ich ulubionym alkoholu. Zbyt mocne to nie było, dlatego żeby cokolwiek w głowie poczuć, trzeba było wypić tego przynajmniej 2-3 litry, więc biesiada rozpoczęła się już w godzinach wczesnopopołudniowych, a kończyła późnym wieczorem. My przybyliśmy do chatki właśnie w takim momencie, kiedy jej mieszkańcy mieli już dobrze „w czubie”. Nie bardzo chciało nam się płynąć po nocy dalej i szukać innego noclegu, dlatego wspólnie zdecydowaliśmy, że zostaniemy na noc, choć dobrze wiedzieliśmy, że będziemy „musieli” pić „masate” i nie pośpiemy. Cóż...

Ponad dwie godziny przesiadaliśmy z pijanymi Indianami, którzy po kilka razy pytali nas, skąd jesteśmy i co tu robimy. Oprócz tego, że mówili im w języku Keczua, który sam w sobie ma mało wspólnego z hiszpańskim, to dodatkowo zwyczajnie bełkotali, ponieważ alkohol i pałace przez cały dzień słońce zrobiły swoje, dlatego, nasze rozmowy był baardzo chaotyczne i z pewnością niezrozumiałe dla obu stron. Dzieciaki bawiły się w najlepsze zgnyłymi bananami, nożami, folią i innymi „zabawkami dzungli”, a dorosli nie zwracali na nie większej uwagi. Moją uwagę przykuła pewna dziewczynka, która bardzo przypominała mi moją bliską koleżankę Agatę, którą z tego miejsca bardzo pozdrawiłam! Jak że mieliśmy są bardzo trochę słodczy, zakupionych jeszcze w Pantoi, to dałem dzieciakom paczkę najwzajemniejszych herbatników. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, ile radości, śmiechu i zadowolenia pojawiło się nagle w ich malutkich, czarnych oczach. Pewnie jeszcze nigdy nie jady takich przysmaków, a nawet jeśli im się zdarzyło, to pewnie od wielkiego święta. Do tego fakt, że ktoś dał im taki rarytas zupełnie za darmo! Dorosli również nie mogli w to uwierzyć, ale widać



Zwykłe herbatniki, a tyle radości.

było, że są bardzo wdzięczni, że daliśmy im coś. W końcu oni dali nam nocleg, który był z pewnością wart o wiele więcej niż paczka herbatników.

Tak już jest, że im ludzie mniej mają, tym bardziej są skłonni, by pomagać innym i to najczęściej bezinteresownie. Ludzie, których napotykalismy na swej drodze po Rio Napo, i ci, których jeszcze napotkamy, są tak otwarci, dobronudni i pomocni, że oddaliby nam ostatni kawałek chleba, gdybyśmy ich tylko o to poprosili. Najcenniejsze rzeczy, jakie mają w domu to maczeta, w miarę nowy garnek czy duża płachta folii ochronnej. W bogatszych chatkach zdarzało się jeszcze radio na baterie czy magnetofon na kasety, jednak uczynność i uciążliwość tych ludzi była identyczna jak w przypadku tych najbiedniejszych. Szkoda, że w Europie ludzie mają tak ogromny problem z bezinteresownością i myślą tylko o sobie.

Na drugi dzień zwinęliśmy czym prędzej manatki, uprzejmie podziękowaliśmy za nocleg i szybko odpłynęliśmy z tego dziwnego, jak by nie było, domu. Na kolejnym przystanku w miejscowości tak małej, że nie miała nazwy, udało nam się kupić 2-kilogramowy kawał suszonego mięsa

z małpy za...5 soli, czyli niecałe 6 PLN! Smak? Słone, słone i jeszcze raz słone! Tak mocno zakonserwowane, by przetrwało 30-stopniowe upały. Nie powiem, żeby było jakoś specjalnie dobre, jednak dieta oparta na ryżu, jajku i od święta tuńczyku nie była specjalnie sycąca, więc pomalutku, po kawałku skubałem sobie to mięsko, wzmawiając sobie, że to pyszna, polska kiełbasa... Prawie.

W kolejnej osadzie rozbiliśmy na brzegu oboz i postanowiliśmy przyrzadzić sobie pyszne jedzonko na ogniu. By tradycją stało się zadość, kupiliśmy dobre, peruwiańskie piwo i urządziliśmy ucztę, którą obserwowali przyszli dzieciaki z całej wioski. Byliśmy dla nich nie lada atrakcją, co zrumniało ze względu na kolor skóry i całe te szopki, które na brzegu odstawialiśmy. Po uccie kilkogodzinne rozmowy pod gwieździstym niebem po raz kolejny w towarzystwie krów, a gdy zrobiło się już bardzo późno, odwiedziliśmy pierwszą lepszą chatkę, w której oczywiście dostaliśmy nocleg.

Dzień pełen wrażeń, jednak prawdziwe emocje dopiero przed nami. Chcecie wiedzieć jakie? Zapraszamy już za tydzień!

froniu



Dzieci z całej wioski przyszły nas oglądać.